



Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO - KULTURALNY

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GAZETA POWIATOWA

ISSN 1641-1935

NR 3 / 2010 (80)



Zamek Lubliniecki w nowej szacie



Fragmenty odrestaurowanego Zamku Lublinieckiego



Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO - KULTURALNY

Spis treści

- 4 *Zamek Lubliniecki - kalendarium historyczne właścicieli*
- 5 *“Zakochałam się w tym zamku”*
- 6 *Skrawek Nieba*
- 8 *Aniela Pietrek 1933 - 2010*
- 9 *Adolf Karol Dygacz*
- 10 *Marian Ernest Szyrocki - wybitny humanista i pedagog*
- 11 *Historia ze starej fotografii*
- 12 *“Boże z Twoich rąk żyjemy ...”*
- 14 *Bartnictwo ziemi lublinieckiej*
- 16 *Mniejszość niemiecka Powiatu Lublinieckiego w okresie międzywojennym*
- 19 *Statkiem po trawie*
- 20 *Na przekór. Na wprost.*
- 21 *Dni Kultury Chrześcijańskiej*
- 21 *Śląski Ogród Sztuk*
- 22 *I Międzynarodowy Plener Rzeźbiarski*
- 24 *Zamki Ludwika II Bawarskiego*

Ziemia Lubliniecka - Magazyn Społeczno-Kulturalny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Lublińcu

Adres Redakcji: Starostwo Powiatowe w Lublińcu,
ul. Paderewskiego 7, tel. 034 351 05 00, fax 034 351 05 11

E-mail: magazyn@lubliniecc.starostwo.gov.pl

Redaktor naczelny: Jan Myrcik

Nakład: 3000 egz.

Skład i druk: Drukarnia  Wzrost, Radzionków ul. Nałkowskiej 51
tel. 032 289 82 75

Materiały do gazety przyjmowane są w siedzibie Starostwa Powiatowego w Lublińcu, pokój nr 21. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastrzega sobie także prawo ich skracania. Nie przyjmuje się artykułów niepodpisanych. Redakcja nie odpowiada za treść artykułów.

Zamek Lubliniecki

- kalendarium historyczne właścicieli

I. Książęta opolscy z dynastii Piastów Śląskich od XIII do XVI w.

w 1272 r. Władysław I książę opolski funduje kaplicę w pobliżu zamku – podaje tradycja,
od 1282 r. Bolesław I książę opolski wymienia nazwę miasta w dokumencie celnym z 1310 r.,
od 1313 r. Albert I książę wielkostrzelecki, brat Bolesława II księcia opolskiego,
od 1366 r. księżna Agnieszka, żona księcia Alberta,
od 1377 r. Bolesław III książę opolski i Władysław II Opolczyk,
od 1382 r. Władysław II Opolczyk książę opolski, opiekun synów Bolesława III – Bolesława IV i Bernarda,
w 1396 r. Spytek z Melsztyna wojewoda krakowski króla polskiego Władysława Jagiełły dzierżawi zamek, a w 1397 r. zastawia na rzecz Przemysława, księcia cieszyńskiego - dokument z 1397 r.,
w 1401 r. Bolesław IV Stary książę opolski zrzeka się zamku na rzecz brata księcia Bernarda,
w 1410 r. Bernard książę niemodliński i wielkostrzelecki odzyskuje zamek po małżeństwie z Jadwigą, córką Spytka z Melsztyna i współrządzi z synami Bolesława IV – Bolesławem VI Mikołajem,
od 1455 r. Bolesław V „Wołoszek” – książę opolski, niemodliński i strzelecki,
od 1460 r. Mikołaj I książę opolski,
od 1476 r. Mikołaj II książę opolski,
od 1497 r. Jan II Dobry książę opolski, niemodliński, raciborski,
w 1532 r. księstwo opolskie przechodzi na rzecz króla Czech Ferdynanda I Habsburga.

II. W cesarstwie Habsburgów.

od 1532 r. Ferdynand I król Czech z dynastii Habsburgów zastawia księstwo na rzecz Jerzego Hohenzollerna, margrabiego brandenburskiego,
w 1562 r. Ferdynand I odbiera zastaw i obejmuje księstwo opolsko-raciborskie,
1562-1568 r. zastaw zamku lublinieckiego na rzecz Mikołaja Lessoty ze Steblowa,
1568-1576 r. zastaw na rzecz Jakuba Sparwein,
1576 r. zastaw na rzecz Jana II Kochcickiego,
1587 r. zamek i dobra lublinieckie kupuje na własność Jan II Kochcicki,
1611 r. Jan III Kochcicki dziedziczy zamek,
1639 r. konfiskata dóbr lublinieckich na rzecz Cesarstwa w wyniku wojny 30-letniej i przegranej państw protestanckich,
1645 r. Andrzej Cellary (od 1652 r. graf) kupuje dobra lublinieckie,
po 1661 r. hr. Jan Ferdynand Cellary dziedziczy zamek,
po 1694 r. hr. Piotr Jarosław Cellary dziedziczy zamek,
1724 r. hr. Maria Elżbieta z Ostenburga, żona, po śmierci męża dziedziczy zamek,
1727 r. Piotr de Garnier pochodzący z Alzacji kupuje zamek.

III. W królestwie pruskim.

1751 r. Andrzej Tomasz de Garnier dziedziczy zamek,
1763 r. Anna Barbara de Garnier dziedziczy zamek po śmierci męża i będąc już hr. Antoniego Gaschin sprzedaje zamek,
1763 r. Karol Ludwik von Ziemiecki kupuje zamek,
1777 r. hr. Karolina Dyhrn kupuje zamek,
1779 r. Jan Feliks Ferdynand von Sturmar kupuje zamek,
1781 r. hr. Dionizy von Janneret kupuje zamek,
1784 r. Franciszek Grotowski kupuje zamek,
1814 r. żona Maria Anna von Blacha dziedziczy zamek i część majątku oraz zarządza Fundacją Grotowskiego do 1826 r.,
1832 r. hr. Andrzej Renard odkupuje Lubliniec,
1860 r. Fryderyk Wilhelm Kielmann,
1872 r. Reinhold Kielmann – syn,
1892 r. Zarząd Prowincji Śląskiej we Wrocławiu kupuje zamek.

IV. W państwie polskim.

1922 r. województwo śląskie,
1945 r. województwo śląskie,
1975 r. województwo częstochowskie,
1998 r. województwo śląskie - Śląski Urząd Marszałkowski w Katowicach,
2002 r. miasto Lubliniec,
2005 r. Spółka z o. o. Zamek Lubliniec – zarządzana przez Daniełę Stier z rodziny niemieckich właścicieli hoteli.

Źródła:

1. Czaplinski M., (red.), Historia Śląska, Uniwersytet Wrocławski, Wrocław 2002.
2. Fikus J., Lubliniec z dziejów miasta na Górnym Śląsku, Lubliniec 2003.
3. Janik M. (red.), Zamek Lubliniecki, Fundacja Zamek Lubliniecki, Lubliniec 2008.
4. Mączak A. (red.), Historia Europy, Ossolineum, Wrocław Warszawa Kraków 2000.
5. Zgorzelska U., Dzieje zamku lublinieckiego [w:] Szkice Lublinieckie 1992 nr 3.
6. Zgorzelska U. Źródła i opracowania dotyczące lublinieckiego zamku [w:] Szkice Lublinieckie 1988 nr 2.



„Zakochałam się w tym zamku”

Co skłoniło Panią do zakupu zamku w Lublińcu?

D.S. Od dawna marzyłam o zakupie zamku w którym mogłabym otworzyć hotel. W Niemczech czy Hiszpanii nie ma już zamków, które można kupić, a tutaj pojawiła się taka możliwość. Zamek w Lublińcu po raz pierwszy zobaczyłam zimą, wszystko pokrywała gruba warstwa śniegu i po prostu zakochałam się w nim. Postanowiłam go kupić i zrealizować swoje marzenia. I tak Lubliniec stał się moim domem.

Dziś zamek prezentuje się pięknie, ale wcześniej był bardzo zniszczony, czas niestety nie obchodził się z nim łagodnie. Czy dzisiaj jest pani zadowolona z przeprowadzonego remontu?

D.S. Tak, jestem bardzo zadowolona, chociaż sam remont trwał bardzo długo to udało nam się uratować ten piękny zabytek i przywrócić mu dawny blask.



Co sądzi Pani na temat okolic Lublińca, czy będą one atutem, aby przyciągnąć do zamku więcej gości?

D.S. Lubliniec, nie jest miastem, który swój rozwój gospodarczy mógłby opierać tylko i wyłącznie na turystyce, ale i tutaj pojawiają się turyści. Swoim gościom oferujemy szereg dodatkowych form spędzenia wolnego czasu, które uatrakcyjnią im pobyt w naszym zamku. Naszym gościom możemy zaoferować m.in. paintball, kurs tenisa, jazdę konną, golf, wędkowanie czy polowania. Nasza oferta jest cały czas rozbudowywana.

A duchy? Zazwyczaj w każdym zamku w ciemne noce pojawiają się zjawy.

D.S. Każdy zamek zamieszkuje jakieś duchy, nasz na pewno też, chociaż do tej pory nie spotkałam żadnego.

Dziękuję za rozmowę, życzę pani sukcesów i wielu gości, którzy zabiorą ze sobą wspomnienia o Zamku Lublinieckim.



Opowiadki z życia Ewy

Skrawek nieba

Od gościńca unosił się tuman kurzu. Chłopi pracujący na polu z niepokojem patrzyli na zbliżających się jeźdźców.

- To pan ze zamku - powiedział Jasiek - hrabia zdzierca i tyran. Przyjeżdża, żeby odebrać resztki zboża. Z głodu pomrzemy. Całą wiosnę lało, nasionka pogniły, to i plony mizerne, ale co to obchodzi jakiegoś pana na lublinieckim zamku, co ucztuje, pije i bije bez opamiętania, a teraz jedzie po najcięższe snopki. Nam co pozostało? Głowę nisko pochylić i usta zacisnąć mocno, żeby żalność nie wypłynęła.

- Jasiek, ty se jeszcze kiedyś kłopotów narobisz. Pan cie obserwuje, dobrze wie, żeś ździebko mądrzejszy, to i hardo dusza mosz. Ty nawet tak śmiało nie myśl, bo po oczach widać, żeś buntownik.

- A co mam być potulny jak baranek, kiedy wilk zagrodę obwąchuje?

Pan już wjeżdżał na pole. Siedząc dumnie na krwistym ogierze, otoczony pachółkami, śmigał batem, rozdzierając ze świstem powietrze. Swoim wyglądem budził postrach i wymuszał pokorę. Żeńcy z uniżeniem pochylili głowy i w ukłonie trwali dopóty, dopóki pan łaskawie nie odezwał się.

- O czymże rozprawiacie, kiedy na polu jeszcze snopki leżą, słońce niedługo zajdzie, a wy lenicie się? No... o czym? I strzelił z bata. Przestraszeni chłopci zerkali na Jaśka. A Jasiek prostując obolałe plecy, odrzekł śmiało i nieco zagłębionym głosem:

- Wielmożny panie, pod nasze domostwa podchodzi wilk, jest groźny dla bezbronnych owiec, nie wiemy, jak się przed nim obronić.

Pan hrabia smagnął batem, na plecach Jaśka ukazała się krwista smuga.

- Ty chamie, śmiesz mi głos podnosić?! I o wilku bajasz? To nie wiesz, że wilki watahą polują?

- Tak panie, to jest wataha, ale groźny jest jeden, reszta to służalcze psy.

Bat w rękę pana świsnął ponownie, a potem raz za razem świszczał coraz szybciej i mocniej.

- Boże, ratuj, on mojego Jasinka zakatuje na śmierć!

Z grupy kobiet wybiegła Anusia. Nie liczyła na litość pana, do nóg nie padła i nie prosiła, bo wiedziała, że to tyran i okrutnik, ale gdy zobaczyła swego ukochanego w kałuży krwi, zaczęła wrzeszczeć ze wszystkich sił i na przemian złorzeczyć, sypać przekleństwami albo wzywać na pomoc wszystkich świętych i całe zastępy anielskie.

- Panie hrabio, ona na nas sprowadzi nieszczęście!

Hrabia znęcał się nad ludźmi, ale sił niebiańskich bał się okrutnie, a przy tym był bardzo przesądny. Wtajemniczeni złośliwie mówili, że zapala Panu Bogu świeczkę a diabłu ogarek.

- Zabrać go! Jak poleży w lochu, to zmądrzeje, a jak zmądrzeje, to pożałuje, a jak pożałuje to... zawisnie na szubienicy! A po chwili dodał - chyba... że go ta głupia dziewczucha wykupi.

Następnego dnia Anusia poszła do zamku. Postanowiła, że będzie silna, że się nie rozplacze i że nie da poznać po sobie, jak bardzo miłuje swojego chłopca. Ale gdy stanęła przed zamkiem, poczuła się bardzo bardzo mała i bardzo bardzo nieszczęśliwa. Strach ścisnął gardło, więc dopiero po chwili ruszyła ku drzwiom.

Pan gdy ją zobaczył, był rozbawiony i ucieszony. Miał minę drapieżnego kota, któremu sama w łapy weszła mała myszka. Pytał ją o nieistotne sprawy, zwlekał z udzieleniem pozwolenia na zadanie pytania, a gdy już nacieszył się widokiem wystraszonego dziewczęcia, wymienił tak wysoką kwotę, że Anusi dech zamarł w piersiach. Wiedział, że choćby cała wieś się złożyła, to tyle talarów nie uzbiera, ale ulitował się nad nią, bo zezwolił na widzenie. Wezwał strażnika, aby sprowadził dziewczynę do lochów.

Anusia schodziła po kamiennych schodach i by nie potknąć się, opierała dłoń o ścianę, która stawała się z każdym schodem coraz bardziej wilgotna. Wzdrygnęła się, gdy zimna kropla wody spadła jej na głowę. Poczula przykrą woń stęchlizny. Nim wzrok przyzwyczał się do panujących ciemności, strażnik otworzył drzwi pomieszczenia.

- Jasinku, gdzie ty?

W kącie na słomie leżał jęczący z bólu Jasio. Anusia ocierając mu z twarzy zakrzepłą krew, mówiła o decyzji pana, ale nie przyznała się do swej naiwności, że jego zezwolenie na widzenie uznała za akt łaski i litości. Zrozumiała, że pan chciał, by zobaczyła poranione ciało chłopca, by zapamiętała ten okropny widok, by rozpowiadała o tym okrucieństwie w swojej wsi, by wieści rozeszły się dalej i dalej... aż tą opowieścią w ludziach rozbudzi strach przed panem z zamku. W drodze powrotnej rzewnie śpiewała:

*Lubliński zomeczek
świeci się jak zarza,
jeszcze ci tu mój Jasinek
zakuty w żelaza.*

*Oj, siedzi tam, siedzi,
i siedzieć tam będzie,
aż go jego kochaneczka
wykupić nie przyjdzie.*

*Nie wykupi z biedy
ani talarami,
ale ona go opłacze
sierocymi łzami.*

Po kilku dniach Jasio potrafił już usiąść. Wprawdzie ciało miał obolałe, rany piekły, przy każdym ruchu syczał z bólu, ale co tam... dojdzie do siebie, jest młody, silny, nikogo i niczego się nie boi, nawet tych szcurków, co po nim łażą.

Ale pan - jak zapowiedział - pottrzyma go w lochach aż zmadrzeje i pożałuje. Pożałuje młodych lat, niespełnionej miłości i wolności. Jeszcze tylko raz, po raz ostatni, popatrzy na słońce, na niebo i poczuje powiew wiatru na twarzy.

Wysoko, tuż pod sklepieniem, było małe okienko, gdy Jasio wspiął się na palce, mógł zobaczyć skrawek nieba; w dzień błękit, w nocy kilka gwiazd. Tęsknił za uśmiechniętą twarzą Anusi, za jej modrymi oczkami, za warkoczami, które lubił rozplatać, za jej czułym dotykiem. Cekał z niecierpliwością na jej przyście pod okienko, bo na widzenia pan hrabia już się nie zgadzał.

- Jaśku, Jaśku już jestem...słyszysz mnie? Wymyśliłam coś... wiem, co mamy zrobić, żeby się choć trochę dotknąć. Pomyślałam, że jak ci wsunę rękę przez okienko, to możesz się ze mną przywitać... no...chcesz mnie dotknąć?

- Czy chcę? Ja w każdą noc i w każdy dzień, nic tylko myślę i myślę i tylko ślinę przetykam, jak ten kot, co smakiem musi się obejść.

Anusia przysunęła się do okienka, włożyła rękę pomiędzy kraty i dwie dłonie zacisnęły się w czułym uścisku. Jasio pogłaskał ją delikatnie i paluszek po paluszkę całował, zaczynając od najmniejszego. Nie spieszył się.

- A teraz daj drugą rękę, żeby tej pierwszej nie było żal.

I znowu, najpierw pogłaskał, potem paluszek po paluszkę namiętnie całował, zaczynając od najmniejszego.

- Nacieszyłeś się już? To teraz możesz pogłaskać mnie po włosach.

I Anusia wsunęła przez okienko swój warkocz. Jasio rozplótł go i wtulił twarz w jej włosy. Zapachniało słońcem, wiatrem i rumiankiem. Gorzko zapłakał nad utraconą wolnością i niespełnioną miłością.

- Jaśku, na co ci to było?

I z wielkiej żałości cicho zanuciła:

*Wielach wycierpiata,
skiz ciebie jankora,
nie trza było ci sie jeżyć
na pana ze dwora.*

Miała cichutką nadzieję, że jednak pan się ulituje i zmieni decyzję, ale wraz z upływem czasu nadzieja nikła. Po niedzielnej Mszy świętej zebrano mieszkańców i ogłoszono wyrok - kara śmierci.

W drzwiach celi ukazała się postać księdza. Jasek pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

- Janie, ukorź się przed panem, pokłoń nisko, poproś o pozwolenie ucałowania ręki, może wielmożny pan hrabia swemu poddanemu okaże litość i zmiłowanie?

- Księżę dobrodzieju, gdyby pan hrabia chciał mnie ułaskawić, dłużej pottrzymałby w lochach, żebym zmizerniał, zmarniał i dostał nauczkę, ale on chce pokazać, że życie chłopca zależy od woli pana. Kiedy mnie, młodego, postawnego i silnego chłopaka wysła na śmierć, to ma być przestroga dla wszystkich.

- Janie, jesteś młody, wykorzystaj ostatnią szansę.

- Księżę dobrodzieju, przecież ksiądz sam nieraz patrzył na okrucieństwo pana i co? Pomogły przestrogi o karze boskiej? Ja nie sprawię mu uciechy, nie okażę strachu dlatego, żeby inni zapamiętali moją odwagę i opowiadali swoim dzieciom, że na niegodziwość pańską nie mogą się zgadzać, a wszystkich nie powieszają, bo ktoś ziemię, wielki dar Boga, musi uprawiać.

Anusia z trudem powstrzymywała łzy. Trzymali się w mocnym uścisku, nawzajem dodając sobie odwagi. Nic nie mówili, bo i po co? Przecież wszystko już sobie powiedzieli. A jednak Anusia przez ściśnięte gardło wykrztusiła pytanie:

- Jak ja będę żyła bez ciebie mój Jasinku? Ty już będziesz mieszkał u Pana Boga, będzie ci dobrze, a ja? Co ze mną? Nieutulona tęsknota mnie zdusi...Nic nie będzie cieszyło, tylko żal i żal...Gdzie nie spojrzę, wszystko mi ciebie będzie przypominało... a najbardziej ten okrągły miesiąc na niebie... co drogę mi rozświetlał, gdym szła tu do zamku, do ciebie mój Jasinku.

- Anuś, moja umiłowana dziewczeczko, póki sił ci starczy, przychodź pod to okienko, a kiedy miesiąc zaświeci, zaśpiewaj pieśniczkę o naszej ciężkiej doli i naszym wielkim miłowaniu... Nie odchodź jeszcze, nie odchodź...

*Podaj mi Jasinku
ostatni raz rączka,
bali czeka już na ciebie
złoto szubieniczka.**

* W treści opowiadania wykorzystano tekst ludowej piosenki „Lubliński zomeczek”.

Ludzie ziemi lublinieckiej

Aniela Pietrek 1933 – 2010



Rubryka "Ludzie ziemi lublinieckiej" jest niejako zarezerwowana w naszej gazecie dla tych Ludzi, którzy na przestrzeni minionych wieków, dziesięcioleci i lat zasłużyli się naszej Małej Powiatowej Ojczyźnie. Wspominamy tu Tych, którzy swymi czynami i działalnością wykraczali często poza granice gmin naszego powiatu, ale także Tych, którzy swoim powołaniem życiowym i pracą zawodową, a szczególnie aktywnością społeczną i zaangażowaniem zostawili w Małych Ojczyznach materialne, bądź duchowe ślady swojej działalności.

W dniu 16 sierpnia 2010 roku odeszła na zawsze od nas śp. Aniela Pietrek, długoletnia i zasłużona nauczycielka i dyrektorka szkoły podstawowej w Koszęcinie. Była rodowitą koszęcinianką urodzoną 11 maja 1933 roku. Jej wczesne dzieciństwo przypadło na czas wojny i trudnego okresu powojennego. W latach 1939 - 1945, kiedy to naszą ziemię włączono do Rzeszy, uczęszczała z obowiązku do niemieckiej szkoły podstawowej w Koszęcinie. Po wojnie uczyła się w Lublinieckim Liceum im. Mickiewicza w którym w 1951 roku zdała maturę.

Ze względu na ogromny brak nauczycieli w tym czasie, Aniela Pietrek (z domu Samek) chętnie oddaje się pedagogicznej pasji, zdobywając niezbędne kwalifikacje. Ukończyła Studium Nauczycielskie i Instytut Naukowy Badań Oświatowych w Katowicach. W umiłowanym zawodzie nauczyciela przepracowała ponad 40 lat. Była wzorową nauczycielką i dyrektorką, dobrą koleżanką braci nauczycielskiej i przyjaciółką dzieci. Wielokrotnie wyróżniana za bardzo dobre wyniki w nauczaniu i kierowaniu koszęcińską Podstawówką, w której spędziła całe swe zawodowe życie.

Śp. Aniela Pietrek należała do nielicznego grona nauczycieli – społeczników. Całą swoją bogatą wiedzę, zdolności, doświadczenie życiowe i wyniesione z domu rodzicielskiego wartości przekazywała zarówno młodzieży jak i dorosłym. Nie dzieliła swego czasu li tylko na "godziny szkolne" i przebywanie w domu. Była na służbie społecznej zawsze i wszędzie, gdzie było coś ważnego do zrobienia i gdzie był potrzebujący pomocy człowiek. Wiedzą o tym ci wszyscy, którzy byli blisko Niej, z którymi utrzymywała przyjacielskie i koleżeńskie kontakty, konsultując z nimi wiele koszęcińskich,

powiatowych, czy śląskich spraw i potrzeb. Wiedzą Ci, którym pomogła i wiedzą władze różnych szczebli - administracyjnych i oświatowych - u których zabiegała o społeczne i ludzkie sprawy.

Aniela Pietrek była inicjatorką odbudowania zniszczonej przez hitlerowców w czasie wojny historycznej kapliczki św. Jana, znajdującej się w pobliżu polskiej szkoły, a upamiętniającej związek króla Jana III Sobieskiego z Koszęcinem. Do lat 80-tych XX wieku trzeba było czekać na to wydarzenie. Jej zasługą jest także wybudowanie dzisiejszego gmachu koszęcińskiego Gimnazjum, który wcześniej był pomyślany jako obiekt poszerzający znacznie bazę szkoły podstawowej, w której dzieci musiały uczyć się na zmiany. Śp. Aniela Pietrek ma także wielkie zasługi w promowaniu i wpajaniu uczniom śląskich tradycji i wydarzeń historycznych, a także wybitnych ludzi tej ziemi. Za jej dyrektorowania szkołą powstawały liczne szkolne kółka zainteresowań i zespoły artystyczne oraz nawiązana została wzorcową współpracą ze znajdującym się w sąsiedztwie szkoły domem kultury. Trudno wyliczyć pozytywne aspekty edukacyjne i wychowawcze wprowadzane przez Zmarłą w koszęcińskiej szkole. Jeszcze trudniej wspominać pojedynczych ludzi i rodziny, którym Aniela Pietrek pomagała uregulować trudne sprawy rodzinne, edukacyjne i wychowawcze, mające często patologiczne podłoże. Niechaj te sprawy pozostaną w dalszym ciągu we wdzięcznych sercach ludzkich i niech pozostaną dla większości z nas anonimowe.

Może na zakończenie tych wspomnień przytoczę fragment z pięknej homilii pogrzebowej ks. prałata Tadeusza Fryca:

"Znałem Ją przez 42 lata mojego pobytu w Koszęcinie. Ta Jej dobroć wyrażała się przede wszystkim w czynie. Nie potrafiła obojętnie przejść obok ludzkiej krzywdy i nieszczęścia. Każdą podjętą decyzję realizowała niemal natychmiast. Była dyrektorką szkoły w bardzo trudnych czasach powojennej historii. Wierna swoim chrześcijańskim korzeniom nieraz narażała się ówczesnej władzy, chociażby wymienić zainicjowanie przez Nią spotkania nauczycieli z biskupem Bednorzem podczas wizytacji parafii....."

W imieniu Przyjaciół - Jan Myrcik



Adolf Karol Dygacz

Urodził się 22 lipca 1914 roku w Droniowicach (powiat lubliniecki) – w wielodzietnej rodzinie. Rodzicami byli Anna i Józef Dygaczowie, mieszkali w skromnej wiejskiej chacie.

Pierwszym jego nauczycielem był Juliusz Bromer, który wczepił mu zamiłowanie do muzyki. Jako młody organista rzetelnie poznawał podstawy muzyczne pod okiem organisty kościoła parafialnego w Sadowie i nauczyciela Franciszka Ligęzy. W latach 1930 – 1934 zdobywa gruntowne wykształcenie ogólne i muzyczne w zakresie szkoły średniej u Ojców Oblatów w Lublińcu.

Służbę wojskową odbywał na podchorążówce w Grodnie i w Suwałkach. Brał udział w kampanii wrześniowej w 1939 roku, a następnie w ruchu oporu na Górnym Śląsku. W 1940 roku pracował jako pielęgniarz w Zakładzie św. Józefa w Prószkowie koło Opola. W czasie okupacji od 1941 roku był więźniem politycznym, więzionym w Opolu, Bytomiu, Katowicach i Raciborzu.

W 1951 roku ukończył studia w Państwowej wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach. Odwiedził Droniowice podczas akcji zbierania folkloru muzycznego w 1950 roku w „Śpiewniku Pieśni Lublinieckich” – jest tam między innymi pieśń z Droniowic z 1950 o treści „W Droniowickim Lesie ku swojej podobie ścinał chłopak brzymka podśpiewywał sobie, Szedł ku niemu gojny chciał mu wziąć siekiera ale mu jon nie wzion boł oskóra”.

Z jego inicjatywy w 1951 roku chór „Echo” z Droniowic prowadzony przez Eryka Parysa nagrał ludowe pieśni w Radiu Katowice z cyklu audycji pt: „Wieś tańczy i śpiewa”.

Rozwija działalność naukową i pedagogiczną. W 1962 roku obronił pracę doktorską, a w 1975 habilitację na Uniwersytecie w Poznaniu.

W latach 1951- 1975 pracował na Akademii Muzycznej w Katowicach, w okresie 1975 – 1980 działał w Katedrze Etnografii Uniwersytetu we Wrocławiu, od 1980 roku związany był z filią Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie – jako kierownik Zakładu Teorii Muzyki i Folklorystyki Muzycznej.

Dorobek pedagogiczny to ponad 200 dyplomów magisterskich, 14 doktoratów, w tym 6 wyróżnionych i 3 habilitacje.

Twórczość Adolfa Dygacza obejmowała szeroki wybór źródeł różnych pieśni, szczególnie z obszaru Górnego Śląska. Nie sposób w tak krótkim opracowaniu przedstawić całokształt działalności wydawniczej (12 tytułów książek), wymienię tylko kilka – wydanych w ostatnich latach:

1. Pieśni Górnicze – Wybór źródeł i opracowanie 1995
2. Pieśni Katowickie - Wybór źródeł i opracowanie 1996
3. Pieśni Powstańcze - Wybór źródeł i opracowanie 1997
4. Śpiewnik Pieśni Lublinieckich - 1999

Ciekawą pozycją wydawniczą jest „Cztery pory roku w przysłowiaach” z roku 2000.

Wszystkie te książki zostały wydane w Górnośląskiej Oficynie Wydawniczej w Katowicach – a ilustrowane przez Edwarda Josefowskiego, który w ciekawy sposób wykonał rysunki do poszczególnych pieśni.

Adolf Dygacz zmarł 4 kwietnia 2004 w Katowicach.

Bogaty dorobek – ciekawa postać.

SPROSTOWANIE

W numerze 2/2010 „Ziemia Lubliniecka” w art. „Johannes Georg Bednorz – noblista o lublinieckich korzeniach” autorstwa p. Marii Krupskiej, nie zamieszczono bibliografii oraz źródła pochodzenia fotografii.

Treść pominiętej bibliografii:

1. Fizyka w Szkole 1988/2;
2. Kronika Szkoły Podstawowej nr.1 w Lublińcu;
3. Wywiad udzielony śp.p.Janowi Fikusowi (seniorowi) przez mieszkankę Lublińca śp.p.Staroniową, utrzymującą kontakt z rodziną Bednorzów w Niemczech;

4. www.gazeta.us.edu.pl
5. www.nobelprize.org.

Źródła zamieszczonych fotografii:

- 1 - www.forumakad.pl ;
- 2 - farm3.static.flickr.com ;
- 3 - farm3.static.flickr.com ;
- 4 - www.morgenpost.de ;

Redakcja „Z.L.” przeprasza autorkę artykułu oraz instytucje posiadające prawa autorskie fotografii.

Marian Ernest Szyrocki

wybitny humanista i pedagog

Urodził się 6 kwietnia 1928 r. w Lublińcu jako syn Rudolfa i Anieli z domu Skaba. Gimnazjum ukończył w Gliwicach. Po odbyciu studiów na Uniwersytecie Wrocławskim, uzyskał kolejno dyplomy magisterskie - nauk pedagogicznych (1950), historii sztuki (1951) i filologii germańskiej (1952). Broniąc rozprawy naukowej pt. „Działalność polityczna i literacka Marcina Opitza” otrzymał tytuł kandydata nauk, zaś w 1960 r. habilitował się na podstawie rozprawy „Der junge Gryphius”. W 1968 r. został profesorem nadzwyczajnym a w 1974 r. profesorem zwyczajnym. Od roku 1969 do końca swego życia pełnił funkcję dyrektora Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego; kierownika Zakładu Historii Literatury Niemieckiej 1969-1971; kierownika Zakładu Literatur Niemiec, Austrii i Szwajcarii XIX i XX w., w latach 1971-1992. Od 1969 r. był członkiem Prezydium Komitetu Neofilologicznego, * w latach 1972-1978 zastępca przewodniczącego a w latach 1978 - 1992 przewodniczącym tego komitetu. Od 1975 r. był członkiem Zespołu Dydaktyczno - Wychowawczego Filologii Obcych przy Ministerstwie Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. W latach 1965 - 1968 pracował w Radzie Naukowej Rozwoju Ziemi Zachodnich a także w Komisji Nauk Humanistycznych wrocławskiego oddziału Polskiej Akademii Nauk.

Jako stypendysta przebywał w b. Niemieckiej Republice Demokratycznej, Republice Federalnej Niemiec i Austrii; w roku 1958 na Uniwersytecie w Lipsku, w 1960 roku na Uniwersytecie w Bonn, w 1967/68 na Uniwersytecie w Getyndze a w latach 1973 i 1975 w Berlinie Zachodnim. W roku 1967 był zaproszony przez Uniwersytet w Austin (USA), jednak nie mógł z tego zaproszenia skorzystać.

W działalności dydaktycznej na Uniwersytecie, na uwagę zasługują jego wykłady z historii i teorii literatury okresu baroku XX wieku oraz komparatystyki.** Wiele wykładów wygłosił także na międzynarodowych konferencjach, m.in. na Uniwersytecie w Halle w 1977 r. na temat „Probleme der Literatursoziologie und der literarischen Wirkung”. Swoją wiedzę chętnie przekazywał słuchaczom, uczył rzetelnej pracy, nie tolerował lenistwa. Wychował wielu magistrów, był promotorem 8 przewodów doktorskich oraz jednej habilitacji.

W swoich badaniach naukowych oprócz historii literatury niemieckiej okresu baroku, zajmował się recepcją literatury niemieckiej w Polsce i polskiej w Niemczech. Jego dorobek naukowy stanowi 46 pozycji książkowych i 226 artykułów, które ukazały się w Polsce, NRD, RFN, Austrii i Danii.

Do najważniejszych prac należy zaliczyć monografię Opitza, Gryphiusa i Goethego oraz syntezę z zakresu historii literatury (8 pozycji). Prace zostały wysoko ocenione przez zagranicznych naukowców.

Na temat prac Profesora Mariana Szyrockiego ukazało się kilkadziesiąt recenzji w krajowych i zagranicznych czasopiśmie. Profesor Szyrocki był również członkiem zespołów redakcyjnych czasopiśmie fachowych w Zurychu, Amsterdamie, Kopenhadze, Wrocławiu i Warszawie.

Działalność naukową i pedagogiczną Profesora wysoko oceniali liczne towarzystwa naukowe. Był członkiem Polskiej Akademii Nauk, Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, Societas Jablonoviana w Lipsku, Internationaler Arbeitskreis für Barockliteratur w Wolfenbüttel, International Association for Germanic Studies w Zurychu, Towarzystwa im. Goethego w Weimazre, Niemieckiej Akademii w Darmstadt.

Za swe zasługi został odznaczony Krzyżami Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Edukacji Narodowej, Austriackim Krzyżem Zasługi dla Nauki i Sztuki, Srebrnym i Złotym Medalem im. Goethego. Był także laureatem wielu krajowych i międzynarodowych nagród, m.in. Ministra Edukacji Narodowej oraz Nagrody im. Braci Grimm.

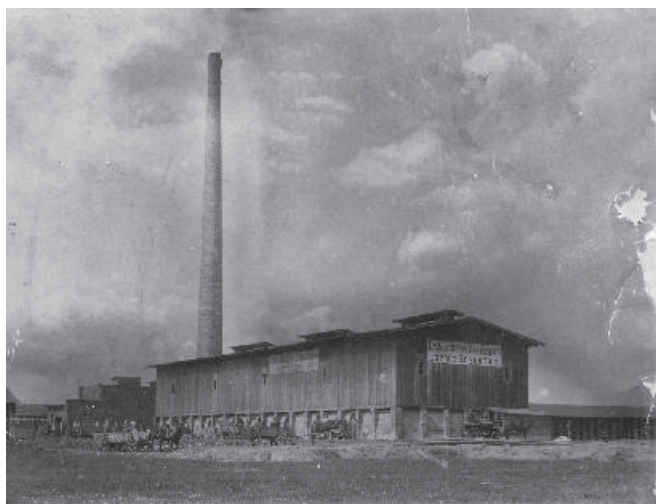
Profesor Marian Szyrocki był człowiekiem życzliwym, prawym i szlachetnym. Nie szczędził czasu ani sił, by swoją wiedzą i doświadczeniem służyć nauce oraz współpracownikom i studentom. Wychował kilka pokoleń germanistów polskich.

Zmarł 30 stycznia 1992 r. we Wrocławiu. Jego dorobek naukowy i dydaktyczny oraz pamięć o nim na trwałe zapisały się w historii Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego.

* zespół nauk filologicznych, zajmujących się językami i literaturami europejskiego kręgu kulturowego czasów nowożytnych (słownik wyrazów obcych PWN W-wa 1995)

** nauka zajmująca się badaniami porównawczymi, ustaleniem zależności, pokrewieństw analogii zwłaszcza w zakresie językoznawstwa i literatury (ibid.)

Źródło opracowania: Materiały uzyskane z Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego przez Zespół Szkół Liceum Ogólnokształcące im. A. Mickiewicza w Lublińcu w 1992 r., udostępnione przez ówczesnego dyrektora.



Historia ze starej fotografii

Powstające od połowy XIX wieku zmechanizowane cegielnie z charakterystycznym wysokim kominem powoli znikają z naszego krajobrazu. Postanowiliśmy przypomnieć historię lublinieckiej wytwórni ceramiki budowlanej, która działała przy dzisiejszej ulicy Cegielnianej.

Jej budowę rozpoczął w 1906 roku Lorentz Grzechatz z Glinicy, który był już właścicielem cegielni w miejscu zamieszkania. Motorem budowy kolejnej cegielni był zły stan dróg transportowych, a co za tym idzie konieczność zmniejszenia odległości między wytwórnią cegieł, a wielką inwestycją, jaką była wówczas rozbudowa szpitala psychiatrycznego w Lublińcu. Rozruch „Erste Lublinitzer Dampfziegelei” (Pierwsza Lubliniecka Cegielnia Parowa) nastąpił 20 maja 1907 roku. Piec zbudowała firma Augustym Dannaberg ze Zgorzelca, a wyposażenie techniczne dostarczyły firmy Guttler z Brzegu oraz Saksońska Fabryka Turbin i Maszyn z Meissen. Z cegielni na lubliniecki dworzec prowadziła kolejka wąskotorowa, dzierżawiona od firmy Smoschewer z Wrocławia, która obsługiwała też sam zakład.

Po 4 latach cegielnia wraz z parcelą została sprzedana Janowi Enderowi z Lipin, a w skład inwentarza wycenionego na 71.000 marek wchodziła m.in. lokomobilia, prasa do cegieł, 5 wózków etażowych i 5 wywrotnych, wóz do transportu cegieł, szyny wąskotorowe i tarcze obrotowe, 2 konie i kuźnia. Już po roku, Ender odsprzedał ją Edmundowi Strachocie i Edmundowi Morawtowski.

W 1922 roku Edmund Strachota, po wcześniejszym spląceniu swojego współnika, sprzedał ją trzem mistrzom rzeźnic z Łodzi (Włodarski, Hahn i Henflerow). Po sześciu latach cegielnię nabyło Przedsiębiorstwo Osadnicze „Ślązak”. W roku 1936 została zakupiona przez rodzinę Witt, co długo po wojnie miało swoje odzwierciedlenie w potocznej nazwie „cegielnia Witta”.

Po II wojnie przeszła pod przymusowy zarząd państwa, by w 1951 roku działać w strukturach Lublinieckich Zakładów Przemysłu Materiałów Budowlanych. Po przejęciu przez RSP Glinica wstrzymano produkcję, a zakład oddano w ręce RPGKiM w Lublińcu. Od czerwca 1981 roku dzierżawiony przez spółkę PPH z Częstochowy, w 1988 stał się jej własnością. Po wyczerpaniu złóż gliny, materiał do produkcji firma dowoziła z podczęstochowskich wyrobisk. Pod koniec lat 90-tych cegielnia ostatecznie zakończyła swą produkcję. Po paru latach rozpoczęła się systematyczna rozbiórka zabudowań zakończona wysadzeniem komina. Dziś, po dawnej cegielni została tylko nazwa ulicy, na jej terenie powstały nowe firmy, a wyrobisko jest systematycznie zasypywane.

Biografia:

Jan Fikus, senior

-”Spacerem przez Lubliniec” 1997

-”Lubliniec z dziejów miasta na Górnym Śląsku” 2003

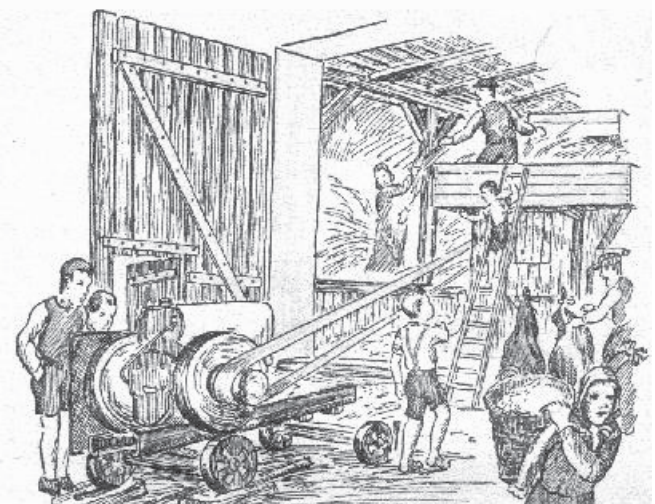
„Boże z Twoich

Tradycyjnie już, od conajmniej kilku wieków ziemia śląska obchodzi dożynki. Jest to święto stare jak świat - w którym wszyscy dziękujemy Bogu za zebrane plony. Znany jest trud pracy rolnika, jego heroiczne zmaganie się z ziemią i nie zawsze życzliwą przyrodą - po to tylko, aby chleb był na stole. Ale ludzie wierzący wiedzą, że bez Bożego błogosławieństwa daremna jest nasza praca. „Jeżeli domu sam Pan nie zbuduje, daremnie się nad nim rzemieślnik frasuje”, „Boże z Twoich rąk żyjemy, choć naszymi pracujemy”, „Błogosław Boże łaskawy, nasze prace i zabawy”. Te i inne pieśni dziękczynne i błagalne śpiewamy od niepamiętnych czasów, przy różnych okazjach.

W naszym powiecie tradycyjne dożynki miały miejsce pod koniec sierpnia i w miesiącu wrześniu. We wszystkich większych miejscowościach ziemi lublinieckiej świętowano w kościołach i w plenerze. Uroczystości rozpoczynały się mszą świętą dziękczynną, a kończyły zabawą ludową. Także Starostwo lublinieckie wróciło do starej tradycji i urządziło w tym roku Powiatowe Dożynki. Wszędzie były tradycyjne wieńce i korowody przemieszczające się z nowoczesnym sprzętem i gigantycznymi maszynami rolniczymi, o których dawniej nikomu się nawet nie śniło. Wiemy, że współcześnie prace rolne przebiegają zupełnie inaczej jak przed laty, czy półwieczem, wszystko jest zmechanizowane i "ani się obejrzyś" - chleb jest na stole.

Ja chciałbym dzisiaj inaczej o dożynkach i o trudzie chłopskiej pracy nad chlebem.

Pomyślałem, że może warto wspomnieć, jak to dawniej bywało - w moim dzieciństwie - zanim chleb znalazł się na stole, jak dawniej „gospodorze” (bo tak tutaj nazywano rolników) musieli ciężko, w pocie czoła pracować i bez przerwy patrzeć w niebo, by dobry Bóg darzył właściwą pogodą, aby szczęśliwie zasiać, skosić, pozwozić i wymłócić. Była to zupełnie inna praca od trudu dzisiejszego żniwowania. Cofnijmy się więc w czasie o 70, 60, a może tylko o 50 lat. Nie było wtedy traktorów i przyczep, kombajnów, sadzarek, siewników i tyle innego sprzętu dzięki któremu dzisiaj łatwiej, szybciej i bezpieczniej uporać się z chlebem. Dawniej aby zasiać, skosić, pozwozić do stodoł, wymłócić, zmielić i upiec chleb, trzeba było wielu pracowitych rąk i ogromnego trudu pracy. Na chleb pracowali staroskowie, młodzi, ich dzieci i wnuki, znajomi i sąsiedzi. Potrzebne były mocne i wytrzymałe konie, różnego rodzaju fury, najczęściej na żelaznych obręczach. Każde gospodarstwo musiało posiadać stodołę. Im więcej ziemi, tym więcej ludzi, koni, stodoł, wozów było potrzeba.



rak żyjemy ...”

Praca nad chlebem rozpoczynała się jesienią nawożeniem, orką, siewem i wieloma innymi pracami. Zasiane ziarno musiało być doglądane i pielęgnowane aby plon był stokrotny. Dawniej nie stosowano nawozów sztucznych, chleb uprawiano ekologicznie, chociaż nie znano jeszcze tego terminu. Gdy już zboże dojrzewało, gdy kłosa zaczynały się złocić, a pocierane w chłopskich dłoniach zwalniały ziarno, przystępowano do żniw. Klepano kosy, liczono kośników, wynajmowano „ubieraczki”, przygotowywano wozy drabiniaste, i patrzono w niebo.

Kiedy zaś znikły poranne rosy... zaczynało się. Im silniejszy chłop, tym szerszy pokos. Kośnicy „siekli” szeregiem, oddaleni od siebie na bezpieczną odległość, za nimi podążały ubieraczki - silne wiejskie kobiety. Brały szybkim ruchem wiązkę skoszonego zboża i niczym akrobatki skręcały błyskawicznie powrosło, którym także po czarodziejsku owiażywały snop, przycisnąwszy go kolanem, aby było mocniej. W pewnej odległości za kośnikami i ubieraczkami szły - na bosaka po ściernisku - dzieci, których zadaniem było stawianie w równych odstępach „kupek”, składających się z sześciu do ośmiu snopów. Tą pracą kierował zazwyczaj senior rodu, który doglądał pracy dzieci i sprawdzał równość szeregów ustawianych snopów.

Około południa przywożono na pole posiłek. Kośnicy otrzymywali zazwyczaj „srogi kawołek dobrego wursztu”, inni „żymła z lyjberwursztym”. Piło się gorzką kawę zbożową. Niektórzy - jeśli starczyło czasu - „wyciągali” się na miedzy, aby wyprostować zmęczone grzbiety. Po krótkim, śniadaniowym odpoczynku praca szła dalej, często do późnych godzin wieczornych.

Po kilku dniach, jeśli sprzyjała pogoda i gdy snopy obeschły, przystępowano do zwózki zboża. Na polach, na podwórkach i w stodołach wrzała praca. Pełne i puste „drabinioki” miały się w pośpiechu na wiejskich drogach. Na polach silni mężczyźni, dwuzębnyimi widłami na długich stylach podawali snopy, które dobrzy fachowcy precyzyjnie układali na wozach. Później podawano długi powąz i upinano go silnie łańcuchami. Jeżeli po drodze wóz się nie wywrócił - co się niestety często zdarzało - wjeżdżano z dobytkiem do stodoły. Tam szybko rozładowywano zboże układając je w sąsiadkach, i praca zaczynała się od nowa. Na pole, załadunek i do stodoły.

Po wykopkach kartofli, buraków i innych okopowych przystępowano do młócki. Mniejsi gospodarze młócili cepami na klepiskach w stodołach, zasobniejsi posiadali „Dreszmaszyny” i „geple” na podwórkach. Konie całymi dniami od jesieni, często przez całą zimę, chodziły w kółko uruchamiając siłą swoich mięśni

mechanizm kieratu przenosząc poprzez metalowe sztangi napęd na młocarnię. Stodoła zawsze pełna była ludzi. Jedni podawali snopy z sąsiadków na maszynę, inni - po przecięciu powrosła nożem - podawali je do „lody”, jeszcze inni zakładali na specjalne uchwyty przy młocarni puste worki i odnosili pełne. Po wymłóceniu „fajowano” zboże, oddzielając plewy od ziarna. Do tego służyła specjalna maszyna - fajok - napędzana ręcznie za pomocą korby. Następnie zboże suszono na strychach, mieszając je kilka razy dziennie drewnianymi łopatami. Słomę magazynowano w stodołach, rzadko na przyzmacach, i używano na ściółkę lub przeznaczano na karmę. Nic nie mogło się zmarnować. Wysuszone ziarno wożono - w dawnych latach - do wodnych młynów, których w powiecie było sporo. W późniejszych latach, na początku XX wieku mielono już w parowych i elektrycznych młynach. Przed laty w każdym chłopskim domu był piekarniok. Ten ważny obiekt znajdował się przeważnie wewnątrz domu, ale bywały też piekarnioki stojące na podwórkach. Chleb piekło się raz w tygodniu po dziesięć i więcej dużych, okrągłych „pecynków”, według specjalnej technologii i odpowiedniego rytuału. I dopiero wtedy chleb znalazł się na stołach.

Szkoda, że ten sielankowy krajobraz żniwny zniknął bezpowrotnie. Nie ma już kośników i ubieraczek, nie zobaczysz już na polach szeregów suszących się snopów, a po ulicach jeżdżących wozów drabiniastych. Już nie skosztujesz chleba z prawdziwego, domowego piekarnioka. Szkoda.

Są jednak rolnicy i są żniwa. Jest także żniwne - nie wiem dlaczego dzisiaj nazywane „dożynkami”. Warto i trzeba koniecznie podtrzymywać piękną tradycję święta plonów. Trzeba też wzorem naszych ojców i dziadów pamiętać, że najważniejszą częścią dożynek jest dziękczynienie składane Bogu u stóp ołtarza. To pocieszające, że pamiętamy o tej SPRAWIE i o słowach pięknej pieśni żniwnej: „Boże z Twoich rąk żyjemy, choć naszymi pracujemy”.

BARTNICTWO NA Z

Pierwotnie pszczoły były owadami leśnymi. Takimi jednak musiały być, skoro wszędzie szumiała tu puszcza, a na swe schronienie wybrały sobie dziuple.

Ludzie już przed tysiącami lat poznali walory smakowe i lecznicze miodu. Tak więc pierwotni mieszkańcy puszczy, napotkawszy zasiedloną dziuplę, znaczyli ją swoim znakiem własności – znamieniem bartnym.

Z czasem zapotrzebowanie na miód wzrosło, bo i ludzi przybywało, a kościół i panowie zaczęli domagać się dziesięciny. Do tego wyrabiano z niego przednie trunki. Należało więc robić sztuczne dziuple w nadziei zasiedlenia ich wyrojami. Stary opis tak to przedstawia:

„By leśną patokę pozyskać, robiono na wysokości 20 stóp ciosnką (ciosnka, piesznia i topór to narzędzia do dziania barci) otwory wysokości trzech stóp, 6 cali szerokie i 10 cali głębokie, strojne na krzyż laskami (drewienkami, na których pszczoły odciągały plastry miodu), a dłużnię zatykano deską, posiadającą w środku otwór wlotowy dla pszczół.”

Dlaczego jednak bartnik utrudniał sobie pracę, drażąc sztuczne dziuple na wysokości około sześciu metrów? Musiał bowiem do tego posługiwać się długą drabiną oraz powozem bartnym czyli leziwem.

Powód był oczywisty: ochrona przed innymi amatorami tego słodkiego przysmaku - przed niedźwiedziami no i też przed niezbyt uczciwym człowiekiem. Ale to nie wystarczało. Dostępu do barci broniły dodatkowo samobitnie. Wspinający się po drzewie niedźwiedź, chcąc dobrać się do plastrów miodu, odtrącał wiszącą na sznurze kłodę, która ruchem wahadła, wracając, uderzała zwierzę, i to tym boleśniej, im silniej była odpychana. W końcu amator słodczy spadał z drzewa lub kapitulował przed tym prostym wynalazkiem bartników.

Pierwsza pośrednia wzmianka o tutejszym bartnictwie pochodzi z 1279 roku. Wtenczas to dnia 11 grudnia książę opolsko - raciborski Władysław ustanowił dla Dobrodzienia¹ czynsz - daninę w postaci miodu. Było tego sporo, bo aż 120 garnców. Co prawda nie wiemy jaką pojemność miał tutejszy garniec, ale chyba taką samą jak w innych dzielnicach Polski - 3,77 litra. W tym wypadku było to około 450 litrów. Przeliczając 1 litr = 1,41 kg uczyniło to 635 kilogramów.

Książę Władysław dobrze znał tutejsze okolice, choćby z łowów na tury. Poddobrodzińska Turza była wsią narokową i jej

mieszkańcy musieli się opiekować tymi leśnymi olbrzymami. Zresztą także podczas łowów książę ten, odpoczywając na śródleśnym wzgórzu, według legendy, miał się wyrazić: „Lubi mi się tu kościół i miasto budować.” Tak to podobno powstał Lubliniec.

Pamiętajmy jednak, że bartnicy winni byli oddać dziesięcinę panu, drugą kościołowi, do tego zrobić sobie zapas na lata nieurodzaju, a jeżeli coś zostało, to sami trochę zużytkowali, trochę sprzedali lub sporządzili sobie trójniak.

Panowie i kościół nie zawsze domagał się dziesięciny w naturze. Czasami wygodniejsze było pobranie czynszu w pieniądzu.

Jak bardzo rozpowszechnione było bartnictwo na Ziemi Lublinieckiej, niechaj świadczą zapisy w protokolarzach miasta Woźniki²:

rok 1488 - Piotr sprzedał stawy, łączkę i las z barciami...

rok 1547 - Marcin Tynior sprzedał dom, dwie kwarty roli i barć Maciejowi Kuczale za „XVII grzywien liczby polskiej” (grzywna polska liczyła 48 groszy).

rok 1560 - Błazek oddał 7 pszczoły nakosczol (7 pni pszczół na kościół);

rok 1565 - pracowity Maciek Mokrus z kuźnicy od Miodka sprzedał stawek: „A plathu (płat) zadnego niemasz stego stawku, bo ku barci należy.”

Rok 1569 - ...na remont szpicy kościoła... od Dziada czerwony złoty, co daje jako płat od pszczół... Wojciech Dziad od płat po 14 groszy polskich od 7 pszczół...”

Podobnych zapisów jest jeszcze sporo.

Parę słów wyjaśnienia. Posługując się obecnym nazewnictwem barć nie oznaczała pojedynczego drzewa. Bartnikowi przysługiwał Bór albo Borek, zwany też Barcią. Była to przeważnie kopa drzew zdatnych do dziania barci. Może nie wszystkie miały wydrążone barcie, nie wszystkie też barcie były zasiedlone pszczołami. Często do takiego Borku należała łąka i (lub) stawek. Razem stanowiło to pewien majątek, będący niekiedy przedmiotem handlu.

Zachowały się zapisy z pierwszej połowy XVI wieku, że kmiecie z Koszęcina mieli obowiązek odwożenia miodu do Opola. W niektórych wsiach (Szemrowice, Lisów, Koszęcin) obok robocizny spoczywał na poddanych obowiązek dostarczenia dla dworu czynszów w naturze i pieniądzu³.

Po zawojowaniu Śląska przez Prusy (1742), w jego nizinnej części, ostatni niedźwiedź został

ZIEMI LUBLINIECKIEJ

odstrzelony w r. 1756 koło Boronowa⁴. Odtąd nie istniała potrzeba dziania barci tak wysoko. Niektórzy bartnicy tradycyjnie nadal to czynili, inni zaś zaczęli je drażyć w klocach a te stawiać w swej zagrodzie. Urządzenie koło swego domu pasieki miało swe pozytywne strony – lepszy dozór, mniejszy wysiłek, wygodę.

Jak podaje Zimmermann w naszym powiecie w r. 1780 znajdowało się 461 zasiedlonych barci. Ale uwaga! Dotyczyło to wyłącznie lasów miejskich Lublińca, Dobrodzienia i Woźnik i ewentualnie lasków, będących w posiadaniu włościan. Dwory to było państwo w państwie i urzędy gminne nie mogły podawać o nich danych, takich jak liczby ich mieszkańców, ilości zabudowań czy, w tym wypadku, ilości barci w lasach dworskich. A tych mogło być kilkakrotnie więcej.

Pewne wyobrażenie o tym, jak to wyglądało w dworach, znajdujemy w pamiętniku pewnego leśnika z Koszęcina zapis, sporządzony jeszcze w XIX wieku⁵:

„Niezbym przyjemne było dla mnie cięcie dziesięciny miodowej. Wszyscy posiadacze pszczół musieli oddać dziesiątą część swych zniw miodowych i woskowych dla panów, a za to otrzymywali drewno na ule, na podkłady oraz na gonty do przykrycia pasieki.

W okresie miodobrania przejeżdżałem dużym wozem drabiniastym z wsi do wsi, otoczony chmurą pszczół. U pasiecznika wybierałem sobie jeden pień, który w przybliżeniu odpowiadał dziesiątej części. Było 10 uli, to wyciąłem jeden pień, a w zależności od ich ilości więcej lub mniej. Jednak wycinać trzeba było, chociaż była tam sama woszczyzna. Miód wrzucano do wozonych beczek i odstawiano do Koszęcina.

Likwidacja serwitutów zniósła i ten stary przymus, a dla pszczelarzy nie wydawano już drewna na ule.

Początkiem lat sześćdziesiątych rozprzestrzenił się tu zgnilec, który zrujnował prawie wszystkie pasieki. Jak pomierali starzy pasiecznicy, przestano interesować się hodowlą pszczół.

Jeszcze początkiem lat pięćdziesiątych, które były bardzo pomyślne, hodowla pszczół była bardzo rozwinięta. Kurek w Olszynie, Jach w Mikołesce, Krzywański w Nowej Wsi Tworogowskiej, każdy z nich miał ponad 100 pni pszczół i u każdego z nich mogłem wyciąć 10 uli. Stanowiska o 10 – 50 pniach to nie była żadna rzadkość i po jednym objeździe przywoziłem wiele cetnarów dla dworu, ale też opuchniętą twarz.

Dawniej pszczelarstwo musiało być bardzo dochodowe. W Mikołesce był pański ogród bartrny,

a stary sołtys Sołtysek z Nowej Wsi dozorował wszystkie barcie leśne. W setkach starych sosen były dość wysoko dziane barcie leśne. Ja sam ściąłem niejedno takie drzewo. Taki sposób był jednak uciążliwy, więc teraz barcie robi się w klocach dla lepszego dozoru.

Hodowla pszczół była bardzo rozwinięta aż do roku wystąpienia zgnilca. Niektórym padły wszystkie pnie a razem z tym też chęć postarania się o nowe. Obecnie nie ma już prawie pszczół i terażniejsza generacja nie jest tym zainteresowana...”

Kiedy leśnik ten jeździł jeszcze wozem i zbierał dziesięcinę, w niezbyt odległych Karłowicach koło Brzegu ksiądz Jan Dzierżoń obserwował życie tych owadów. Odkrył partenogenezę pszczół. Wynałazł nowoczesny ul z wymiennymi ramkami. Stworzył pasiekę liczącą 500 uli. Opublikował 26 książek oraz około 800 artykułów specjalistycznych, za co został uhonorowany wysokimi państwowymi odznaczeniami i wyróżnieniami. Jego główne prace to: „Theorie und Praxis des neuen Bienenfreudes” (Brzeg – 1847), „Rationelle Bienenzucht” (Brzeg – 1861) i „Nachtrag zur Theorie und Praxis” (Nordlingen – 1852). Przekładów na język polski dokonał Józef Lompa – „Nowe udoskonalone pszczelarstwo” {Piekary – 1859) i „Dodatek do teorii i praktyki nowego pszczelarza (Leszno 1859).⁶

Tenże Józef Lompa był skrzętnym zbieraczem podań, pieśni ludowych, wiadomości o obrzędach i innych sprawach. Spisał nazwy miejscowe pól, łąk i ostępów leśnych. Są wśród nich różne Borki, Pasieki i Barcie, gdzie indziej Patoka. Między innymi zanotował, że w 1860 roku jedyną już barć (zespół bartny) posiadał w lesie komunalnym Woźnik Jan Nawrat. Zresztą jeszcze w okresie międzywojennym bezrobotni dziali tam swe barcie. W czasie okupacji zaś Niemcy wyznaczali kontyngent w miodzie od każdego ula. Tak to jakiś zapobiegliwy gospodarz ukrył jeden rój w trudno dostępnym miejscu nad Małą Panwią w uroczysku Kuźnik. Wymiary tej barci zwróconej na wschód wynosiły: wysokość 52 cm, szerokość 18 cm, zwiększającą się do wewnątrz, głębokość 25 cm, otwór wlotowy o średnicy 25 mm na południe.⁷

Wraz ze ścięciem w 1975 roku tej ostatniej bartnej sosny przebrzmiały echa dawnego puszczańskiego bartnictwa na Ziemi Lublinieckiej.

1 Augustin Weltzel w swej „Geschichte der Stadt und Herrschaft Guttentag” – Racibórz 1882 – twierdzi, że czynsz ten dotyczył Dobrzecza Wielkiego, ale tu chodzi raczej o Dobrodzienie;
2 Ludwik Musioł i Stanisław Rospond – Protokolarz Miasta Woźnik oraz Bernard Szczech – Protokolarz Miasta Woźniki - 4 zeszyty - Woźniki 2002;
3 Lubliniec – Zarys rozwoju powiatu – Wydawnictwo „Śląsk” – Katowice 1972, str. 78;
4 Zimmermann – Bayrte ge zur Beschreibung Schlesiens – tom II str. 133;
5 Zur Lebensgeschichte des Wilhelm Karl Prieur – odbitka maszynopisu w posiadaniu autora;
6 Bogdan Snoch – Ilustrowany Słownik Dziejów Śląska – „Śląsk” Katowice 1991;
7 Edward Goszyk – Echo puszczy - miesięcznik „Pszczelarstwo” - nr 10 z 1975 roku.

MNIEJSZOŚĆ NIEMIECKA W OKRESIE MIĘ

Losy Górnoszlązaków przez całe wieki były poplątane, a nierzadko również z tragiczne.

Wschodnie tereny Górnego Śląska, w tym również obecnego powiatu lublinieckiego już od 1178 roku zostały oderwane od Małopolski i przyłączone do dzielnicy śląskiej. Od tamtych czasów tworzyła się odrębność regionalna tego obszaru. Na jej specyfikę wpływ wywierały różne zawirowania dziejowe. Najpierw kilkusetletnie związki z Polską, a potem, od pierwszej połowy XIV wieku - długotrwała przynależność do Czech, monarchii austriackiej, Prus i Niemiec. Przez blisko sześć stuleci obce mocarstwa ustanawiały tu swoje prawa, zawsze rządzili tu obcy, a tutejsza ludność była tylko do poddańczej roboty. Rodziło to wśród Ślązaków poczucie krzywdy i sprawiało, że z czasem ukształtował się wśród nich silny zmysł tożsamości etniczno-regionalnej. Wszystkich łączyła tu owa śląskość z jej staropolską gwarą upstrzoną nieco germanizmami, obyczajowość przejęta od przodków, duża pracowitość i silne przywiązanie do wiary katolickiej.

Nawet władze pruskie przyznawały się do tego w roku 1845, że w powiecie lublinieckim "...masy ludności wiejskiej są właściwie polskie, mówią wyłącznie po polsku..." To stąd wywodzili się sławni bojownicy o polskość Śląska, jak Józef Lompa, Juliusz Ligoń i ks. Konstanty Damrot. To tu na przełomie XIX i XX wieku czytano przechowywane do dziś w niektórych rodzinach polskie „Żywoty świętych” i inne teksty, pochodzące najczęściej z mikołowskiej drukarni Karola Miarki.

W spisie powszechnym z 1900 roku aż 86% ludności powiatu lublinieckiego odważnie podało język polski jako swój język macierzysty, a dane liczbowe z 1910 roku wykazywały w gminach wiejskich tego powiatu 94% ludności polskiej. Tak było przez całe wieki. Ani

kolonizacja pruska, ani wzmożona germanizacja w czasie bismarckowskiego „Kulturkampf” nie zdołały wydrzeć z Górnoszlązaków owego przywiązania do wiary i mowy ojców.

Na wskroś polski charakter Lublinieckiego ujawnił się również w okresie międzywojennym. W powiecie czynnych było blisko 40 związków i stowarzyszeń. Do najaktywniejszych należały: Związek Powstańców Śląskich, Związek Strzelecki, Towarzystwo Polek, Związek Młodzieży Powstańczej, Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, Związek Harcerstwa Polskiego i Stowarzyszenie Śpiewaków Śląskich.

Jednak mimo panującego ożywienia społeczno-narodowego i entuzjazmu z powodu odbudowy państwowości polskiej, z upływem lat w tym nadgranicznym powiecie nastroje mieszkańców coraz bardziej zakłócał tak zwany problem mniejszości niemieckiej.

15 maja 1922 roku została zawarta w Genewie tzw. Konwencja Górnoszląska w sprawie ochrony mniejszości na tym terenie. Konwencja zapewniła Niemcom w polskiej części Górnego Śląska pełnię praw obywatelskich i politycznych. I choć w powiecie lublinieckim mniejszość niemiecka stanowiła wtedy zaledwie 2,1% ogółu ludności, to jednak miała ona na tym terenie korzystne warunki, sprzyjające jej umacnianiu się.

Ostoją niemieczyzny w tym zakątku G. Śląska były dwory wielkich magnatów niemieckich. W osobach Donnersmarcka, Hohenlohego, czy barona von Reitzensteina (zarządcy dóbr Ballestrema), mniejszość niemiecka znajdowała zawsze wpływowych protektorów. Owi potentaci po dawnemu eksploatowali ziemię i lasy tego terenu oraz byli pracodawcami dla sporej liczby mieszkańców, mieli więc możliwość wywierania na nich nacisku, szczególnie w latach wielkiego kryzysu gospodarczego i bezrobocia (sam Hohenlohe zatrudniał w swoich dobrach około 1000 osób).

POWIATU LUBLINIECKIEGO DZIWYWOJENNYM

Poczynając od 1929 roku Niemcy rozpoczęli w powiecie starania o utworzenie szkół niemieckich oraz oddziałów niemieckich w istniejących szkołach polskich. W efekcie tych działań powstały dwie szkoły mniejszościowe – w Lublińcu i w Koszęcinie (prywatna). W żadnej z pozostałych miejscowości ilość zgłoszonych dzieci do tych „minderheitek”, względnie osobnych oddziałów nie uzyskała wymaganego minimum.

Do szkół niemieckich przyciągano dzieci różnymi sposobami. Biedniejszym rodzicom oferowano zasiłki pieniężne, dzieci otrzymywały bezpłatne podręczniki i przybory szkolne, organizowano dowożenie uczniów z dalszych miejscowości.

Ponadto każdego roku, podczas ferii zimowych i wakacji letnich organizowane były wyjazdy na obozy i kolonie do Niemiec. Tam była dobra okazja do wpajania dzieciom ideologii nazistowskiej oraz odpowiedniego przeszkalania wychowawców. Ta prowadzona z premedytacją akcja przynosiła pewne efekty. W końcu lat trzydziestych do obu szkół niemieckich uczęszczało łącznie ok. 200 uczniów. Ponadto w Lublińcu uruchomiona została niemiecka ochronka dla dzieci przedszkolnych, do której uczęszczało około 40 dzieci. Placówce tej starano się również nadać wydźwięk polityczny, m.in. poprzez organizowanie wycieczek i imprez z udziałem rodziców, podczas których śpiewano zbiorowo niemieckie piosenki i często, jak donosiły meldunki policyjne

„...zachowywano się prowokacyjnie...”.

W powiecie lublinieckim działało w okresie międzywojennym kilka organizacji mniejszościowych. Były to Deutsche Partei, Deutsche Christliche Volkspartei, Deutscher Volksblock für Schlesien, Deutscher Volksbund

i Jungdeutsche Partei. O ile trzy pierwsze nie uwidaczniały się wyraźnie i w swojej działalności zachowywały umiar, o tyle Volksbund i JdP prowadziły w miarę upływu lat coraz agresywniejszą ofensywę polityczną, szczególnie w końcu lat trzydziestych. Partia Młodo-niemiecka przejawiała większą aktywność we wschodniej części powiatu, to jest na obszarze dóbr Donnersmarcka i Hohenlohego (z pewnością nie małą „zasługę” miała w tym też koszęcińska „minderheitka”). Przeszło 100-osobowe koło działało w Babienicy-Psarach, zaś w pozostałych gminach były grupy kilkudziesięcio osobowe. Na zachodnich rubieżach powiatu i w samym Lublińcu więcej zwolenników zyskał Volksbund. Jego większą liczebność w tej nadgranicznej części powiatu należy tłumaczyć m.in. werbunkiem, a nawet naciskiem, jaki był wywierany przez pracodawców na robotników zatrudnionych po niemieckiej stronie granicy, głównie w Krupskim Młynie i w Zawadzkiem. Duże poparcie zyskiwał również Volksbund ze strony dworu kochcickiego. O tym, że Niemcy uciekali się też do podstępnych metod wciągania w swoje szeregi jak najwięcej Górnoślazaków może świadczyć zachowany w katowickim Archiwum Państwowym list mieszkańca Lisowa, skierowany do miejscowego zarządu Volksbundu. Oburzał się on w nim na to, że organizacja ta śmiała od niego żądać składek członkowskich. W zakończeniu listu napisał: „...Nigdy nie byłem Niemcem, do Volksbundu nie należałem i nie należę, a składek nie zapłacę bo jestem Polakiem...” W dwóch ostatnich latach przed wojną organizacja ta liczyła w powiecie przeszło 900 członków.

Dojście Hitlera do władzy wyraźnie zmobilizowało lubliniecką mniejszość niemiecką. W działalności Volksbundu i JdP zaczęły się z coraz większą wyrazistością przejawiać oznaki

MNIEJSZOŚĆ NIEMIECKA ...

c.d. z poprzedniej strony

wrogości wobec państwa polskiego. Miejscowe społeczeństwo z niepokojem śledziło ich wzrastającą aktywność.

W prywatnych mieszkaniach bądź w lokalach, których właścicielami byli Niemcy, odbywały się coraz głośniejsze zebrania z niemieckim śpiewem,

a czasem też okrzykami szkalującymi Polskę. W Lublińcu punktem zbornym Niemców był również Dom Ewangelicki. Jak się orientowały miejscowe władze zdarzały się przypadki, że uczestnikami tych schadzek byli również nieznanymi osobnikami, przybywający z terenu Rzeszy. Ta antypolska działalność wzmożła się szczególnie od wiosny 1939 roku, po wysunięciu przez Hitlera znanych żądań terytorialnych pod adresem Polski. Na zewnątrz objawiało się to w coraz częstszym, ostentacyjnym posługiwaniu się językiem niemieckim w miejscach publicznych, w manifestacyjnym „heilowaniu”, a nawet w wyszydzeniu Polaków na ulicy lub w lokalach. Przykłady takich zachowań i wrogiej agitacji zanotowały posterunki policji w Lublińcu i kilku innych miejscowościach powiatu. Starostwo powiatowe oraz policja na ogół nie przedsiębrały żadnych kroków by przeciwdziałać podobnym ekscesom. Zgodnie z odgórną polityką władz sanacyjnych starały się nie zrażać Niemców, aby nie dostarczać im pretekstów do i tak już rozdmuchiwanej przez nich propagandy o rzekomych prześladowaniach mniejszości w Polsce.

W ostatnich tygodniach przedwojennych atmosfera stała się bardzo napięta. Podobnie jak wzdłuż całej granicy polsko-niemieckiej, również w tym spokojnym zakątku województwa śląskiego zapanował ogólny niepokój. Ich źródłem była nie tylko wspomniana wcześniej agresywność Volksbundu i JdP, ale również coraz częstsze „incydenty graniczne”, inspirowane przez mniejszość. Zalesiony teren powiatu nadawał się wybitnie do nielegalnego przekraczania granicy i wszelkich akcji dywersyjnych.

Wzrósł pokaźnie ruch graniczny. Posterunki straży granicznej zanotowały przypadki przemytu broni i ulotek nazistowskich, szerzących kłamliwe oskarżenia o prześladowaniu mniejszości niemieckiej w Polsce.

Temu celowi służyć miały również dość liczne ucieczki przez „zieloną granicę” aktywistów mniejszościowych. Uciekinierów tych propaganda hitlerowska afiszowała jako „ofiary polskiego barbarzyństwa”. Byli oni też po polityczno-wojskowym przeszkoleniu wcielani do formacji bojówkowej „Freikorps-Ebbinghaus” i kierowani w rejon pogranicza.

Latem 1939 roku została w Berlinie opracowana specjalna książka gończa („Sonderfahndungsbuch Polen”), w której znalazły się nazwiska Polaków przewidzianych do wytypowania w pierwszej kolejności. Na tej „czarnej liście” znalazło się również 59 działaczy niepodległościowych i przedstawicieli inteligencji z powiatu lublinieckiego, co było też dowodem niecnej działalności shitleryzowanej mniejszości. Należy dodać, że jej udział w tym procederze był również widoczny potem, na początku września, kiedy to hitlerowcy bezbłędnie wyłapywali w poszczególnych miejscowościach powstańców i działaczy plebiscytowych. Tak było w Lublińcu, Kochcicach, Woźnikach, Boronowie i innych miejscowościach powiatu.

- Bibliografia-

K. Popiołek- Górnego Śląska droga do wolności, 1967

L. Łakomy - Plebiscyt górnośląski, 1936

WAP K-ce - Zespół akt; Starostwo lublinieckie 1922-39

Statkiem po trawie

Tym razem chciałbym zaprosić na dalszą wycieczkę - na północ Polski. Wiąże się to z koniecznością zamówienia noclegów - ale warto poświęcić na to trochę czasu ze względu na wyjątkową okolicę. Mam na myśli wyjazd w stronę Ostródy. Znajduje się tam Kanał Elbląski - jeden z kilku w Polsce, łączy rzeki i jeziora z możliwością dopłynięcia do morza.

Jednak najciekawszym przeżyciem jest tzw. „podróż statkiem po trawie”. Jest to zabytek architektury i hydrotechniki - unikat w skali światowej. Cały szlak Kanału Elbląskiego wynosi 152 km - natomiast odcinki wykonane ręką ludzką - przekopy między jeziorami to trasa licząca 86 km. Zasadniczą trasę Kanału Elbląskiego podzielona na 3 odcinki. Pierwszy to szlak długości 52 km, w 21 km przez jeziora, 28 km to przekopy oraz 3 km to pochylnie, z jeziora Drużno w Elblągu do Miłomłyn. Drugi szlak prowadzi do służy w Miłomłynie do jeziora Szelaż w Starych Jabłonkach o długości 31 km, z tego połowa to przekopy. Trzeci szlak prowadzi od Miłomłyna do Zalewa - długości 32 km.

Twórcą Kanału był Georg Jacob Steenke - autor koncepcji pochylni, rozwiązań hydrotechnicznych szlaku wodnego, kierownik budowy kanału, natomiast po ukończeniu budowy jako administrator tego szlaku. Przy budowie największym problemem do pokonania była różnica wysokości pomiędzy jeziorami - wynosząca 100 m. Pierwotnie planowano budowę drewnianych służ komorowych. G.J. Steenke - podróżując do Belgii, Holandii, Kanady - zmienił pierwotną koncepcję i zdecydował się na wprowadzenie kilku pochylni, na których umieszczono dwa torowiska. Po nich wozy wraz ze statkami poruszają się na kołach. W ten sposób transportowane są jednostki pływające o ciężarze do 80 ton. Przeprowa przez pochylnie odbywa się w ten sposób, iż jednocześnie z górnego i dolnego stanowiska wypływają platformy z zacumowanymi statkami i poruszając się po szynach przemieszczają się w górę i dół. Budowę kanału rozpoczęto w roku 1844 i w ciągu 16 lat powstały cztery pochylnie, a w latach 1874 - 1881 powstała piąta w Całunach.

Niesamowite wrażenie wywiera moment gdy statek umocowany na platformie wypływa a właściwie wyjeżdża z wody pod górę lub w dół po szynach wśród zieleni i ma się wrażenie, że jedziemy otwartym autobusem.

Statek zabiera jednorazowo 65 pasażerów, jest górny i dolny pokład, mały bufet i możliwość podziwiania

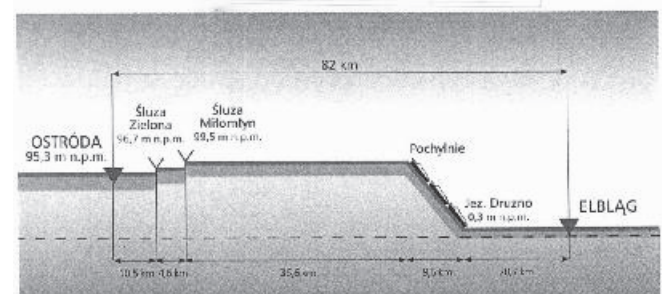
wspaniałych widoków, przyrody nad jeziorami (liczne ptactwa nie spotykane gdzie indziej), zabytkowe domy o ciekawej architekturze.

Gdy wypływamy od strony Elbląga przez jezioro Drużno docieramy do pochylni Całuny i pokonujemy wysokość 13 m w górę na długości 450 m. Następnie kanałem o długości 2 km do pochylni Jelenie pokonujemy 22,5 m na długości 510 m, po przepłynięciu odcinka 2,9 docieramy do pochylni Oleśnica i na pochylni przenosimy się na 24,5 o długości 350 m, płyniemy kanałem o długości 2,9 km i osiągamy pochylnie Kąty - długa 450 m, na wysokość 18 m, dalej kanałem na odcinku 2,1 km docieramy do pochylni Buczyniec - długość 550 m, różnica wysokości to 21,5 m. w ten sposób na odcinku 9,6 km pokonujemy różnicę wysokości 99,5 m, co nie jest spotykane gdzie indziej osiągnięciem techniki. Pierwotnie kanały te służyły do przewozu drewna i były bodźcem do rozwoju gospodarczego tego rejonu. Obecnie odbywa się tutaj tylko ruch turystyczny od wiosny do jesieni bez przerwy i przynosi większe dochody. Miejsce na statek trzeba zamawiać już wcześniej, gdyż zainteresowanie taką atrakcją turystyczną jest duże szczególnie zagranicą. Stare urządzenia działają bez zarzutu od początku budowy kanału.

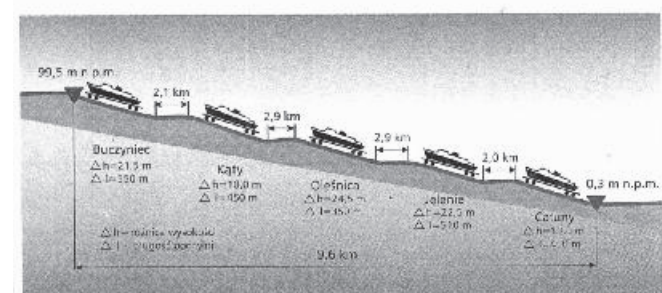
Opracowano na podstawie:

„Kanał Elbląski i okolice” - Przewodnik z mapą, wyd. Stowarzyszenie Łączy Nas Kanał Elbląski - Elbląg 2009

SCHEMAT KANAŁU



POCHYLNIE / INCLINED PLANES





Na przekór. Na wprost.

12 osób niepełnosprawnych zakończyło udział w projekcie „Na przekór. Na wprost.” realizowanym przez Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w Lublińcu współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego.

Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w Lublińcu zakończyło drugi etap realizacji projektu „Na przekór. Na wprost.” współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego. W pierwszym etapie realizacji projektu „Na przekór. Na wprost.” działania zostały skierowane do osób usamodzielnianych, dla których zorganizowano kurs języka angielskiego, kurs ABC przedsiębiorcy, warsztaty efektywnej komunikacji międzyludzkiej oraz kurs prawa jazdy kat. B. Z kolei drugi etap realizacji obejmował działania skierowane do osób niepełnosprawnych z terenu powiatu lublinieckiego. W ramach projektu osoby niepełnosprawne wyjechały na turnus rehabilitacyjny jak również uczestniczyły w indywidualnym poradnictwie zawodowym, podczas którego doradca zawodowy w sposób profesjonalny nauczył uczestników szkolenia poruszania się po rynku pracy i jego instytucjach, przygotował ich do rozmowy kwalifikacyjnej oraz wsparł w przygotowywaniu podstawowych dokumentów aplikacyjnych (CV, list motywacyjny). Następnie osoby niepełnosprawne podczas warsztatów auto-prezentacji w sposób praktyczny wykorzystały

dotychczas zdobytą wiedzę. Dzięki uczestnictwu w warsztatach osoby niepełnosprawne rozwinęły umiejętności kreowania pozytywnego wizerunku, potrafią eksponować swoje zalety, umiejętności, mocne strony. Zajęcia prowadzone były nie tylko w sposób teoretyczny. Dzięki odgrywanym scenkom osoby niepełnosprawne nauczyły się technik auto-prezentacji niezbędnych podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

Projekt cieszył się dużym powodzeniem i realizacją wytyczonych celów. Wsparciem objęto 32 osoby. Dodatkowo dzięki wsparciu środków Unii Europejskiej możliwe było utworzenie stanowiska doradcy ds. osób niepełnosprawnych, którego zadaniem jest poradnictwo oraz wspieranie niepełnosprawnych mieszkańców Powiatu Lublinieckiego.

Obecnie trwa przygotowywanie wniosku o dofinansowanie projektu na rok 2011. Podobnie jak w tym roku przewiduje się w nim udział osób niepełnosprawnych jak również osób opuszczających placówki opiekuńczo-wychowawcze i rodziny zastępcze, tj. osób usamodzielnianych. Osoby zainteresowane udziałem w Projekcie szczegółowe informacje uzyskają w siedzibie Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Lublińcu przy ul. Sobieskiego 9. Udział w projekcie i całości zajęć jest bezpłatny.

„Na przekór. Na wprost.”

Projekt współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

Dni Kultury Chrześcijańskiej

Dnia 17 października 2010 r. o godz. 1500 w kościele p.w. św. Stanisława Kostki o. Oblatów w Lublińcu, odbył się kolejny koncert zorganizowany przez Starostwo Powiatowe w ramach cyklu „Powiatowe Dni Kultury Chrześcijańskiej”. Licznie zgromadzona publiczność wysłuchała kilkunastu pieśni i recytacji w wykonaniu artystów Anny Płaczek (sopran) oraz Anety i Andrzeja Skibów (alt i tenor) z towarzyszeniem instrumentalnym kompozytora i dyrygenta Czesława Płaczk.

W koncercie „Czuwać to znaczy być” opartym m.in. o teksty i myśli Jana Pawła II, usłyszeliśmy piękne kompozycje i aranżacje autorstwa p. Cz. Płaczk i muzykę kompozytorów klasycznych, a także pieśni oazowe i tradycyjne.

Piękne głosy solistów pozwalały słuchaczom na głęboką refleksję i przeżycia estetyczne, które zostały nagrodzone przez publiczność gorącymi oklaskami. Podziękowania dla wykonawców i organizatorów w pięknych słowach wyraził proboszcz o. Aleksander Deniec.

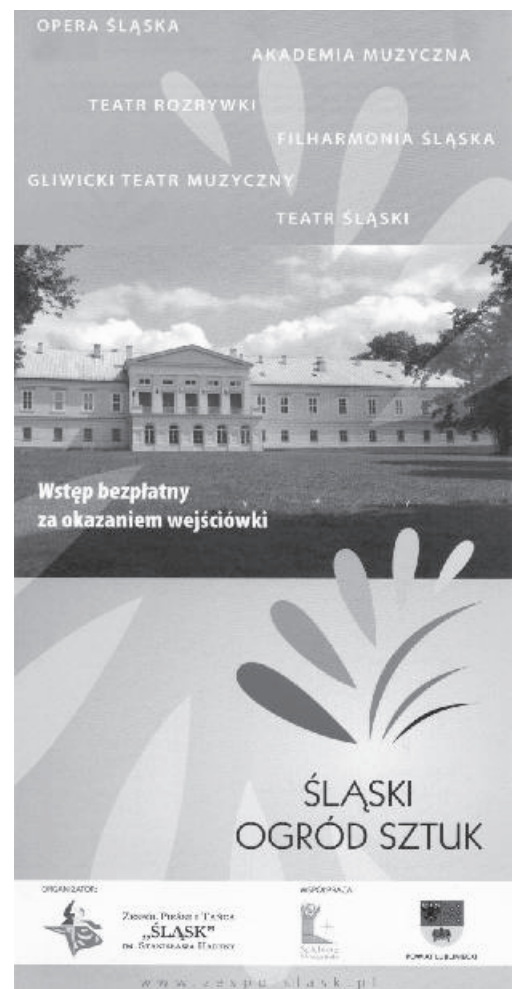
Organizatorem koncertu i całego cyklu był Starosta Lubliniecki Joachim Smyła i Starostwo Powiatowe w Lublińcu. Całe dzieło było szczególnie cenne, gdyż podobne koncerty odbywają się już od 2008 roku i dotarły do ok. 25 miejscowości i większych parafii naszego powiatu, pozwalając mieszkańcom na aktywny udział w życiu kulturalnym naszej ziemi lublinieckiej.

Śląski Ogród Sztuk

W okresie od maja do października 2010 roku Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny zrealizował projekt pod nazwą „Śląski Ogród Sztuk”. Programy i spektakle zaprezentowane w koszęcińskiej siedzibie Zespołu stworzyły niepowtarzalną okazję dla mieszkańców naszej ziemi i odwiedzających gości, do obcowania ze sztuką najwyższych lotów. Koncerty i spektakle stały się autentycznymi wydarzeniami w życiu kulturalnym naszego regionu i naszej ziemi. Formuła, w której zaproszono najważniejsze instytucje kultury regionu śląskiego do prezentowania swoich najlepszych programów, stworzyła możliwość wysłuchania i obejrzenia atrakcyjnych występów w wykonaniu artystów Opery Śląskiej w Bytomiu, Akademii Muzycznej w Katowicach, Teatru Rozrywki w Chorzowie, Filharmonii Śląskiej w Katowicach, Teatru Muzycznego w Gliwicach i Teatru Śląskiego w Katowicach.

Szeroki repertuar obejmujący muzykę od epoki baroku po XX wiek, utwory często prezentowane w najlepszych teatrach muzycznych Europy i świata, zachwyciły słuchaczy i widzów. Komplet publiczności, dziękujące owacjami artystom na kolejnych występach pokazały, że sztuka wysokich lotów jest oczekiwana, doceniana i kochana przez publiczność.

Organizatorom, wykonawcom i kreatorom projektu należy pogratulować i podziękować, że mogliśmy uczestniczyć w wydarzeniach, które wejdą do historii kultury naszego regionu i naszej ziemi.



I Międzynarodowy Plener Rzeźbiarski „św. Edyta Stein - patronka Lublińca i współpatronka Europy”

Na przełomie lipca i sierpnia br. na zaproszenie Burmistrza Miasta Lublińca Pana Edwarda Maniury do Lublińca przyjechało 11 artystów rzeźbiarzy z Ukrainy, Słowacji, Czech i różnych miast Polski. Z Ukrainy przyjechała Natalia Leykina, ze Słowacji Eva Hamadyova z Czech Tomasz Cidlik i Jiri Rozehnal, a z Polski: Paweł Łęski z Warszawy, Marek Sienkiewicz z Wrocławia, Marian Molenda z Nysy, Wit Pichurski, Ignacy Nowodworski i Marek Maciąg z Opola. Miałem przyjemność reprezentować nasze miasto i pełnić, powierzoną mi przez Burmistrza, funkcję komisarza pleneru. Pomysł zorganizowania pleneru i jego temat wyszedł od samego burmistrza, który podczas jednej z wystaw w muzeum E. Stein zaproponował mi skompletowanie odpowiedniej grupy artystów i zainteresowanie ich tematem, którym była postać św. Teresy Benedykty od Krzyża- Edyty Stein. Patronat honorowy nad plenerem objął Przewodniczący Parlamentu Europejskiego prof. Jerzy Buzek. Temat z którym przyszło zmierzyć się artystom był ciekawy i trudny zarazem. Postać tragiczna lecz zarazem piękna. Niemiecka żydówka, filozof, karmelitanka zamordowana w komórce gazowej wraz z grupą 300 żydów chrześcijan. Wyniesiona w 1988r. przez Jana Pawła II na ołtarze.

Każdy z artystów przyjechał z gotowym projektem i swoimi przemyśleniami. Przez prawie dwa tygodnie na oczach mieszkańców Lublińca artyści zmagali się z tworzywem którym były potężne dębowe lub brzoźowe pnie a w jednym przypadku granit. Zmagali się również z nie zawsze przychylną aurą. Powstało 11 oryginalnych i bardzo ciekawych rzeźb, które staną w różnych miejscach miasta. W niedzielę 8 sierpnia wszystkie rzeźby zostały zaprezentowane na lublinieckim rynku podczas poplenerowego wernisażu. Każdy z artystów przedstawił swoją wizję tematu związanego z postacią naszej patronki. Natalia Leykina z Ukrainy wyrzeźbiła w jednym ponad czterometrowym dębowym pniu postać świętej, która unosi wysoko w górę krzyż w związanych drutem kolczastym dłoniach. Realistyczna lecz głęboko symboliczna rzeźba o wielkiej sile wyrazu. Inaczej do tematu podeszła słowacka rzeźbiarka Eva Harmadyova. Przedstawiła dwie zróżnicowane bryły z potężnych dębowych bloków. Jeden - prostokątny, przez który przesącza się patynowana szaroniebieska, olbrzymia łąza. Drugi, nieregularny, brązowy blok ustawiony niesymetrycznie na pierwszym, po jednej stronie z zarysowaną gwiazdą Dawida, a po drugiej trójkątem z purpurową boską żrenicą.

Piękna alegoryczna forma dająca dużo do myślenia. Natomiast Czech Tomasz Cidlik w swojej symbolicznej, trochę ludycznej formie przedstawił postać świętej różańcem w dłoniach, zamiast głowy wyłaniają się budynki oświęcimskiej bramy kolejowej, przez którą do obozu wjeżdżały pociągi z transportami więźniów. Całość kompozycji tworzy formę krzyża. Drugi z Czechów, Jiri Rozehnal wyrzeźbił z jednego kawałka dębu postać zakonniczki w kształcie składanki orgiami, która w rękach trzyma kulę z kolczastego drutu z uwieczoną w środku gwiazdą Dawida. Profesor Marian Molenda z Nysy pokazał ascetyczną formę rzeźbiarską składającą się z dwóch ponad pięciometrowych słupów (nawiązujących do betonowych słupów obozowych) pomiędzy którymi zarysowana jest ażurowa postać w habitcie. Paweł Łęski z Warszawy wykorzystał do swojej rzeźby potężny dębowy pień wypalając go w środku i wkomponowując weń różne wersje schodów prowadzących w górę, na najniższym stopniu umieścił dwa surowe, ciężkie, drewniane buty. Nawiązał tym samym do obozowych drewniaków w których musieli chodzić więźniowie.

Młody polski rzeźbiarz Ignacy Nowodworski przedstawił postać świętej jako młodej dziewczyny z rozwianymi włosami w których zaroiło się od ptaków symbolizujących piękno i pokój. Jedynym rzeźbiarzem, który podjął pracę z granitem był Wit Pichurski. W czarnym granitowym bloku wyciął szczelinę na tle której zarysował kobiecą postać w habitcie unoszącą się w przestrzeni. Delikatna jasna kreska na czarnej, błyszczącej powierzchni granitowej płyty nadaje tej postaci dziwną lekkość i uduchowanie a przestrzenna szczelina wprowadza niepokój i dramatyzm. Marek Maciąg wykorzystał dwa ogromne brzoźowe pnie, z których wyrzeźbił oszczędną w formie postać z aureolą składającą się z dwóch białych bloków delikatnie przesuniętych wobec siebie. Całość dzięki prostocie formy i bieli potężnych brył sprawia wrażenie monumentalności. Natomiast Marek Sienkiewicz z wrocławskiej ASP zaintrygował wszystkich bardzo nowoczesną kompozycją monumentalnego przestrzennego krzyża równoramiennego na którym umieścił skrzyżowane pod ostrym kątem dwie belki symbolizujące rozdarcie. Moja kompozycja rzeźbiarska to surowy prosty krzyż z nieheblowanego, lekko wybielonego drewna, na którym przybity został poszarpany, opalony ogniem fragment topolowego pnia z mosiężną gwiazdą Dawida symbolizujący spalony kawałek habitu. Edyta Stein i jej siostra w swojej ostatniej drodze miały na sobie karmelitańskie habit, do których przyszyte były takie gwiazdy.



Marek Sienkiewicz – Wrocław



Tomas Cidlik – Czechy



Ignacy Nowodworski – Opole



Natalia Leykina - Ukraina



Paweł Łęski - Warszawa



Wit Pichurski - Opole



Marek Maciąg - Opole



Jiri Rozehnal - Czechy



Stanisław H. Kowalczyk - Lubliniec



Marian Molenda - Nysa



Eva Harmadyova - Słowacja

Śladami historii

Zamki Ludwika II Bawarskiego

W dniach 1 - 6 czerwca 2010 r. Stowarzyszenie Absolwentów i Wychowawców LO i LE im. Adama Mickiewicza w Lublińcu, zorganizowało kolejną wycieczkę z cyklu „Śladami historii”. Po Wilnie, Lwowie, Pradze i Budapeszcie, 100 osobowa grupa sympatyków i członków Stowarzyszenia ruszyła szlakiem zamków króla Ludwika II Bawarskiego.

Bogaty program obejmował zwiedzanie miast: Salzburga, Garmisch - Partenkirchen, Merseburga i Monachium, wjazd na najwyższy szczyt Alp niemieckich Zugspitze (2962 m), rejs po Jeziorze Bodeńskim na wyspę kwiatów Mainau oraz wycieczkę do szwajcarskiego Schaffhausen, na największe w Europie wodospady w przełomie Renu. Najważniejszą część programu obejmowała jednak zwiedzanie przepięknych romantycznych zamków, zbudowanych przez młodego króla Bawarii w latach 1864-1886:

- wspaniałego i monumentalnego **Herrenchiemsee** zbudowanego na wzór paryskiego Wersalu na wyspie jeziora Chiemsee,
- bajkowego **Neuschwanstein**, budowanego przez 17 lat zamku, którego forma i wystrój nawiązywały do legendy o rycerzu Lohengrinie i mitów starogermańskich ukazanych w dramatach muzycznych Ryszarda Wagnera, wniesionego wysoko w przepięknych Alpach bawarskich, ponad malowniczym wąwozem Pollat,

- położonego w sąsiedztwie majestatycznego **Hohenschwanggan** odbudowanego przez jego ojca Maksymiliana II w stylu średniowiecznej fortecy, w którym Ludwik spędził swoją młodość,

- przepięknego **Linderhof**, otoczonego wspaniałym parkiem, położonego u podnóża Alp w cudownej alpejskiej dolinie,
- ogromnego pałacu **Nymphenburg**, siedziby królów bawarskich, w Monachium.

Trasa przejazdu wiodła przez Czechy, Austrię, Niemcy z wypadem do Szwajcarii. Odwiedziliśmy kraje związkowe Salzburg i Tyrol, landy Bayern i Baden Württemberg. Przejechaliliśmy najpiękniejszą alpejską trasę, wiodącą przez ciche i urokliwe doliny, pełne krystalicznych potoków i rozlanych w dolinach błękitnych jezior, w sąsiedztwie ośnieżonych szczytów.

Doznania estetyczne, kontakt z historią, kulturą i piękną przyrodą długo pozostaną w pamięci uczestników wyjazdu.

Ludwik II Bawarski

Zwany „bajkowym królem” lub „Ludwikiem Szalonym”, panował w latach 1863 - 1886. Objął tron po swoim ojcu Maksymilianie II z dynastii Wittelsbachów, najdłużej panującej rodziny królewskiej Europy. Panował w bardzo burzliwym okresie historii Europy. Zwolennik idei zjednoczenia krajów niemieckich, rywalizował z Prusami, z którymi w 1866 r. Bawaria przegrała wojnę. Mimo to w 1871 r. opowiedział się po stronie Prus, które dokonały zjednoczenia Rzeszy państw niemieckich. Był zwolennikiem absolutyzmu, zapatrzonym w epokę Ludwików, królów Francji. Nie odpowiadały mu żądania Bawarczyków dążących do zmian w konstytucji. Uwikłany w liczne konflikty polityczne przeżywał głęboko swoje porażki i rozczarowania związane z władzą. Mimo wielkich starań o rozwój sztuki i nauki, nie znajdował uznania i zrozumienia dla swoich ambitnych planów. Coraz mocniej zwracał się w stronę świata średniowiecznych rycerzy, legend i mitów starogermańskich. Swoje marzenia i idee realizował budując kolejne romantyczne zamki i siedziby, w których motywem przewodnim stali się bohaterowie z oper i dramatów muzycznych Ryszarda Wagnera. Realizacja jego kosztownych marzeń doprowadziła do znacznego zadłużenia państwa. W 1886 r. został odsunięty od władzy i zmuszony do abdykacji. Trzy miesiące później utonął w wodach jeziora Starnberger, a okoliczności śmierci nigdy nie zostały wyjaśnione.



Ludwik II Bawarski



Herrenchiemsee



Neuschwanstein



Linderhof